

PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Rok VIII. Nr. VIII i IX. Prenum. roczna 5 zł. Sierpień i wrzesień 1928

Usposobienie radosne.

Radość jest potrzebą serc, w których mieszka Duch św.

Radości potrzeba duszom dźwigającym krzyż, sercom skruszonym i zranionym, duszom postawionym w ogniu walk i zmagani wewnętrznych.

Gdzie Bóg, tam jest radość, bo radość jest siłą, przygnębienie i smutek są oznaką słabości.

Cieszyć się, to być świadomym swej siły żywotnej, a smuć się, to wątpić, tracić energję. Radość często uzdrawia, smutek przyprawia o chorobę.

Wszystko co służy naszemu dobru, co posuwa naprzód i bogaci, sprawia nam radość, co zaś odziera i uboży przygnębia nas i smuci.

Bez radości niema cnoty czyli siły ducha.

A właśnie największej siły wymaga życie, które nieraz w małych rzeczach, od rana do wieczora, przykuwa nas do drobnych posług, tutaj nic nie działa podniecająco, trzeba się zmagać z nudą zwyczajnej powszedniości, tem bardziej trzeba nam szukać wesela wewnętrznego, które daje Duch św.

Wesołe usposobienie uczy nas jak obchodzić się z bliźnimi. W nastroju przygnębionym niechętnie znosimy drugich, znika z twarzy życzliwość, która się przejawia w słowach i głosie. Gdy jesteśmy w dobrym humorze nie czujemy żadnych trudności. Lecz biada nam i innym gdy górę bierze zły humor. Świat wydaje nam się wtedy nieznośny, w każdym człowieku upatrujemy wroga.

Pogoda ducha to lekarstwo. Wesołemu wszystko przychodzi w porę, nic nie wyprowadza z równowagi. Nie spiera się, nie zaczepia nikogo, bierze ludzi z ich dobrej strony, o każdym gotów dobrze mniemać, nie gorszy się byle czem, sam nie jest kamieniem obraży dla drugich, nieprzewidziane trudności przyjmuje spokojnie.

Radość pomaga nam także do zaparcia samych siebie.

Wesoły łatwiej pokonywa samego siebie, w ogniu miłości dusza staje się ofiarną. Największe ofiary umieją nieść nie oczy skore do płaczu, ale twarze uśmiechnięte.

Ponuro wyglądają mury klasztorne, żelazne kraty klauzury. Nie sądzcie jednak, jakoby tam mieszkał smutek. Tylko umysły wesole i serca ofiarne potrafią wytrzymać życie klasztorne.

Wesołe zapieranie się samego siebie wyzwala serce z pęt samolubstwa i czyni je zdolnem do wspinania się w górę na wyżyny miłości.

Dlaczego przestajesz martwić się? Boś znużona, zgorzkniała, a kiedy lubowałaś się w zaparciu, czy wtedy nie podnosiło ci piersi wonne tchnienie wiosenne? Wtedy twój świat wewnętrzny w pełnym był rozkwicie, a dziś wszystko zwiędłe i pyłem pokryte, dlaczego?!

Wesele wewnętrzne czerpiemy z sakramentów i z ćwiczeń pobożnych. Sami tego doświadczamy, że odnowienie duszy naszej dokonywa się pod wpływem radości.

Kiedy pociecha i zapal rozszerza nam serce, wówczas rośniemy i nabieramy siły. Radość to życie, wzrost i tężenie duszy, to promień słoneczny, który duszę ożywia, budzi i rozwija drzemiące w niej siły, to ciepła pora, w czasie której drzewa pokrywają się zielenią, rosną i owoc wydają, w zimie zaś włókna się kurczą, liście opadają i pień zapada w martwość.

Zwracajmy więc uwagę na to, by dusza nasza była nastrojona na ton radosny. „Weselcie się w Panu zawsze!“ mówi apostoł.

Usiłujmy z naszych Komunji św. i modlitw czerpać ducha pociechy i wesela.

Może nie doznajemy pociechy dlatego, że jest w nas wiele sobkostwa, wiele małoduszności, a wielki brak serca. Nieostrożne jesteśmy w mowie, nie panujemy nad uczuciami i wyobraźnią, gonimy za rozrywkami, używaniem, pochwałami. Pozwalamy sobie na niedelikatną poufalskość w stosunkach z Bogiem. — Wszystko to należy zmienić.

(Ks. bisk. Ottokar Prohaszka)
Rozm. o ewangelji.

Z Życia P. Jenerałowej (mężatka) 34.

Z naszych pieszych przechadzek z P. Birt dwie mi w szczególności w pamięci utkwily.

Raz zapuściwszy się w jakąś okolicę zupełnie turecką, gdzie nie było śladu Europejczyków, wpadłyśmy wśród jakichś chłopaków, którzy zaczęli na nas rzucać kamieniami. Próbowaliśmy parasolami od kamieni się zasłaniać, ale chłopcy coraz bardziej ośmieleni, coraz bliżej na nas nacierali; było to blisko tureckich koszar, a przed drzwiami żołnierze siedzieli i zdawali się chłopców poniekąd zachęcać do tej antychrześcijańskiej manifestacji. Przypomniałam sobie, że słyszałam, czy też czytałam, że niema na wschodzie większej obelgi, jak zapytać się kogo czy jest człowiekiem. To też raptownie się zwróciwszy ku siedzącym żołnierzom i wprost im w oczy patrząc, powiedziałam jak mogłam najgłośniej: „Adam mi sen“ Czy człowiekiem jesteś? — W tej chwili, jakby zelektryzowani żołnierze, skoczyli na nogi i słowa nie odrzekłszy chłopaków to za kołnierz, to za ramiona złapali i przytrzymali, a kilku zdała za nami poszło, ażeby nas od dalszych napaści bronić.

Inny raz z gorszą jeszcze nieogłędnością poszłyśmy do jakiejś rzeki, czy odnogi Bosforu i wsiadłszy na kaik, kazałyśmy się zawieźć na wodną przejażdżkę; po jakimś czasie chcieliśmy się wrócić do domu, ale turek, któremu nie przyszło na myśl, ażebyśmy miały się bawić płynięciem tam i napowrót, sądząc, że chcemy gdzieś dopłynąć, ciągle nam pokazywał to jedno miejsce, to drugie, do wylądowania, a wcale wracać się nie chciał.

Nareszcie nie wiedząc czy on istotnie nie może nas zrozumieć, czy też nie chce, postanowiłyśmy mimo ogromnej odległości od domu wysiąść i wracać się piechotą.

Ale tu nowy kłopot, bośmy nie miały pieniędzy; gdyby nas był dowiózł tam, gdzieśmy chciały, łatwo było, bo blisko, ażeby poszedł z nami do domu po pieniądze, ale tu o taką odległość, wysiąść i odejść bez zapłaty, to była nieco inna sprawa. — Jednak turek na to nic nie powiedział i puścił nas spokojnie do domu. Niemaló jednak

zażyłyśmy strachu i dopiero w kilka dni odszukałyśmy tego wioślarza, czy jak ich tam zowią kaikdži i zapłaciłyśmy. Pewnie się tego nie spodziewał po „psach chrześcijanach“ czyli „Giaurach“.

Francja i Anglja były już wydały wojnę Moskwie w obronie Turcji, ale żadnej nie miały ochoty jej prowadzić inaczej jak na papierze; ciągle ufali, że się skończy na przejażdżce do Dardaneli i przekonani byli, że w Stambule nie przyjdzie nawet wysiadać. To też o ile zrazu dowódcy wojskowi jakoś nieśmiało się posuwali, o tyle posłowie państw zachodnich atramentem wojowali żwawo i gorąco.

Posłem angielskim od dwudziestu lat był Lord Stratford de Redclif przyzwyczajony Stambułem trząść dowoli i będący więcej w Stambule panującym niż Abdul Medżid pocziwy.

Póki posłem francuskim był bardzo zgodny i spokojny pan de Bourqueney, a przy nim bardzo miła i uprzejma jego żona, wszystko szło jakotako; ale później posłano tam na posła jenerała Baraguey d'Hilliers który z Lordem Stratford kłócić się nie przestawał, a Porta nieszczęśliwa nie wiedziała co począć z nimi; bo dwóch bardziej niesfornych ludzi trudno było spotkać. Kłócili się z Portą, kłócili się między sobą, nareszcie, któregoś dnia tak się poróżnili, że jenerał Baraguey d'Hilliers kazał na parowcu swoim ogień do wyjazdu rozpaścić.

Wyjazd jednego z posłów w takiej chwili równał się zerwaniem z Portą stosunków i puszczeniem ją na pastwę Moskali, a to właśnie w chwili kiedy wojska francuskie i angielskie udawały, że chcą Turcję bronić. W istocie udawały, bo tylko mimowoli i wiele później istotnie w wojnę się wdali i to w Krymie, o co Turkom wcale nie chodziło.

Wszyscy wiedzieli, że mój mąż ma dawne i przyjazne stosunki z obu posłami, to też sekretarze obu poselstw, konsulowie, drogmani wpadali do niego co chwila, ażeby koniecznie starał się przeszkodzić taktemu zgorzeniu. Dwadzieścia cztery godzin t. j. dzień i noc, o ile pamiętam, zeszły na bieganiu od jednego posła do drugiego; obaj byli zapyrzeni do najwyższego stopnia. Mój mąż im dowodził, że się kłóca o bzdurstwa, a że dla miłości własnej poświęcają losy Turcji, którą mieli bronić, a zatem i interes własnych państw.

Nareszcie po nieskończonych dyskusjach, wymógł na każdym, że list jako tako uprzejmy, do kolegi napisze; każde słowo tych listów było powodem do osobnej rozprawy. Jenerał Baraguey raz nareszcie uznając, że był może nieco nadto gwałtowny, powiedział: „Je ne sais où diable l'empereur a été chercher un diplomate de mon espèce* *). A mój mąż mu na to: „Mais général, Vous avez fait vos preuves comme soldat et puisque on Vous a fait diplomate, il faut maintenant agir en diplomate et non en soldat“ **).

Nareszcie listy napisali, mój mąż te listy zaniósł i nakłonił ich potem, żeby sobie wizyty oddali.

Jenerał Baraguey d'Hilliers powiedział mi potem; „Votre mari nous a rendu bien grand service; car vraiment si nous étions partis laissant nos armées derrière nous, nous aurions eu l'air d'être venus envahir la Turquie, plutôt que la défendre“ ***).

Sprawa polskiej formacji była wcale niełatwą, Michał Czajkowski Sadyk Basza spotkał był w Stambule jakąś P. Śniadecką, która tam przyjechała dla odszukania i wywiezienia zwłok jakiegoś Moskala, swojego narzeczonego, po śmierci którego była nie mówię, że nie do pocieszenia, ale niepocieszoną. — Sadyk jednak znalazł jakieś argumenta, ażeby przynieść ulgę strapionemu sercu i mimo tego, że zostawił w Paryżu żonę i cudne czworo dzieci, dwóch synów i dwie córki, ożenił się na turecki sposób z p. Śniadecką i nie wiem czy z muzulmańską ceremonją, czy bez niej. Od tej chwili p. Śniadecka ubrała się po turecku, nazywała się panią Sadykową i była dla Sadyka aż do śmierci najlepszą żoną.

Sadyk, chociaż po przejściu na muzulmanizm przestał być urzędowym reprezentantem Księcia na wschodzie, chociaż mu odmówiono przyjęcia w angielskim i francuskim poselstwie, niemniej jednak utrzymywał stosunki z Księciem i z moim mężem. — Dla Księcia był

*) Nie wiem skąd Cesarz do diabła wyszukał sobie dyplomatę w moim rodzaju.

**) Jenerale, dowiodłeś jako żołnierz, co potrafisz; skoro zrobili z Ciebie dyplomatę, działaj teraz jako dyplomata, a nie jako żołnierz.

***) Mąż Pani oddał nam wielką usługę, bo gdybyśmy wyjechali pozostawiając wojska poza sobą, wyglądałoby to, jakgdybyśmy przybyli zająć Turcję, zamiast ją bronić.

zawsze z największem poważaniem, w stosunku do mego męża, był zupełnie jak ów opętany w ewangelji, którego duch nieczysty rzucał raz w ogień, raz w wodę. Czasami najstraszniejsze oszczerstwa na niego wyrzekał i jemu zarzucał wszystkie swoje nieszczęścia i niemożność skutecznego służenia krajowi jakby mógł i chciał.

Czasami mawiał, że Zamoyski jeden wśród wszystkich Polaków ma rozum, energję i poświęcenie potrzebne do służenia krajowi. — Kilka razy do nóg mu się rzucił, mówiąc o sobie, że jest najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie i błagając żeby mu ufał i przebaczał.

Mój mąż wierzył zupełnie w patryjotyzm Czajkowskiego i to w nim wysoko cenił; niemniej cenił jego przywiązanie do Księcia, jego rzadkie zdolności, jego znaczenie u Turków i przysługi jakie sprawie polskiej mógł jeszcze oddać. Ale nazywał go szaleńcem, a jako szalonemu dużo przebaczał i zawsze w obejściu z nim największą życzliwość okazywał; ale szaleńcowi wcale nie ufał, i mówił, że niema tej rzeczy, której w danej chwili nie możnaby przypuścić, że się jej dopuści.

Często gdy Czajkowski najohydniejsze rzeczy o nim mówił i pisał, gdy je powtarzano, odpowiadał: cóż chcecie, on za to za ledwie odpowiedzialny, bo taką ma grącą wyobraźnię, że w swoim nieszczęściu i rozjątrzeniu, wyobraża sobie, że to wszystko prawda, a ledwo przed nim stanę, to się przekona, że to haniebne kłamstwo i sam go najwięcej żałować będzie.

Czajkowski był człowiekiem zupełnie bez zasad, ale Polskę kochał i pragnął jej służyć i pragnął wszystkiego, o czem przypuszczał, że do jej podźwignienia służyłoby mogło. Przypuszczał, że wojna stanie się europejską, że z Azji gdzie się toczyła, przeniesie się na granice Turcji, a może do Polski i że na ten upragniony wypadek trzeba mieć gotowe hufce polskie. Mój mąż dzielił zupełnie te myśli, te nadzieje i te pragnienia. Ale mówił, że byłoby niegodziwością narażać Polaków osiedlonych zagranicą, na emigracji, do opuszczenia swoich zajęć i zarobkowania, ażeby ich zaciągać czy to do wojska tureckiego czy nawet do jakichś polskich oddziałów w tureckiem

wojsku, mając ich fałszywą nadzieją wojny, mogącej Polsce stać się pożyteczną *).

Sadyk chciał, ażeby mój mąż korzystał z kłopotu w jakim się Turcja znajdowała, ażeby czemprowadzając jakieś oddziały formować i bardzo memu mężowi brał za złe, że się tak ociąga. Brali mu to za złe i Polacy, którzy na wschód przyjechali w nadziei znalezienia tam czynnej służby. Mój mąż na wszystko odpowiadał, że wojna prowadzona między Moskwą a Turcją w Azji żadnego dla Polski nie może mieć znaczenia, że jedynie jakaś dla Polski nadzieja powstanie jak Anglja i Francja udział wezmą w wojnie i do Turcji ją przeniosą.

Czajkowski sam na swoją rękę formował pułk przezwany przez niego Kozaków Sułtańskich. Była to zbieranina wszystkich możebnych narodowości słowiańskich i ludzi wszelkich rzemiosł; najmniej tam było, o ile wiem, wojskowych, głównie ludzi wykołejonych, nie mających eo ze sobą począć. Było jednak i kilku porządných ludzi, mianowicie, o ile pamiętam major Kirkor z 31 roku.

Turcy też mego męża napierali, żeby jakąś formację rozpoczął. Francja i Anglja nie były jeszcze wydały wyraźnie wojny Moskwie, ale floty z wojskiem krążyły nad brzegami Turcji, dla „upamiętania“ Moskwy.

Mój mąż pojechał do Galipoli, gdzie marszałek St. Amand odbywał przegląd wojsk, ażeby z rozmowy z nim wnioskować, czego się można spodziewać po sprzymierzeńcach i co począć wypadnie.

Marszałek mówił, że tworzyć oddziały do wojska tureckiego, nie mogłoby jak tylko być z wielką korzyścią; ale tworzyć polskie, wyraźnie polskie oddziały w porozumieniu z Francją, toby się równało wydaniu wojny i to wojny nie o Turcję, ale o Polskę. — „A pociście tu przyjechali“ pytał mój mąż, „jeżeli nie dla wydania wojny?“ Marszałek odrzekł, że mają wszelkiemi siłami uniknąć „drażnienia“ Moskwy i tego wszystkiego, coby do wojny doprowadzić mogło.

Mój mąż im dowodził, że jej już nie unikną i że tylko o to chodzi, czy ją wydadzą w sposób prawdziwie pożyteczny i zabezpie-

*) W listach ówczesnych przedstawia się rzecz nieco inaczej.

czający pokój na przyszłość, czy tylko dla próżnego wylewu krwi. — Bądź co bądź, ta rozmowa go przekonała, że nic jeszcze czynić nie można. Nie przeszkadza, że bardzo był zajęty, bo ta chwila dla Polski zdawała się uroczystą.

Stosunki z dwoma poselstwami, z Portą, z Polakami niecierpliwie wyczekującymi w Stambule co zajdzie, korespondencja z Księciem, donoszenie mu o tem, co się w Turcji działo, a co przez Księcia szło do cesarza Napoleona i do Anglii, dużo dawały roboty i dużo czasem znużenia.

Tak jak w Paryżu, tak i w Turcji mój mąż mawiał, że konna przejażdżka, to dla zdrowia złota pigułka; kosztowna, ale zbawienna. To też codziennieśmy wyjeżdżali na dalekie konne przejażdżki. Czasami jak mój mąż nadto miał zajęcia, albo musiał sam gdzie konno jechać, namawiał mnie, żebym mimo to z kim innym pojechała, a amatorów do tego nie brakowało nigdy; ale pomnąc na zobowiązanie "wzięte w czasie ślubu mego przed ołtarzem, nigdy tego nie uczyniłam, z czego się bardzo cieszę.

Te przejażdżki konne z moim mężem, były dla mnie największą przyjemnością. Zawsze byłam gotową w mgnieniu oka, a to w ten sposób, że zawsze nosiłam stanik od amazonki i tylko spódnicę zmieniałam, co i chwili nie trwało. Mój mąż mawiał, że ja nie żona, ale żołnierz.

Postarał mi się też mój mąż o nauczyciela do tureckiego języka. Był to Grek Fanariot Fotiadi, później poseł turecki w Paryżu.

Wielką było i dla mnie i dla mego męża "przyjemnością, jak mogłam już potrochu za tłumacza mu służyć. W każdym razie lepiej mi się to udawało niż Michałowi. Przypominam sobie jak razu jednego po przyjeździe do Stambułu, mój mąż chciał coś powiedzieć jakiemuś Turkowi i nie mógł sobie poradzić dla braku dwóch zaimków: woła Michała i pyta jak się mówi moje i twoje. A Michał bez zająknięcia odpowiada: „Ot tak, Panie, jak moje to jest; a jak twoje to niema”.

W czasie tego pobytu w Pera, niemało miałam zmartwienia z choroby i śmierci Sedżeta. — Ten pies miał dla mnie urok niesłychany głównie stąd, że za panem swoim przepadał, prawie tyle co ja,

a o mnie tak mało stał jak ja sama o siebie. Ta strata tak mnie dotknęła, że przez kilka dni zamykałam się, żeby nikt nie widział, że płaczę, jakby po utracie najlepszego przyjaciela. „To nadto” mówiłam sobie, „to nadto, to się nie godzi” precz i dalej płakałam. Obiecałam sobie, że nigdy nie będę trzymać przy sobie żadnego stworzenia. Takie postanowienia łatwiej brać niż dotrzymać, jak się przekonałam.

Został mi się po Sedżecie portrecik jego jak leżał na kolanie mego męża. Napisałam pod nim wiersz z Hamleta. „There is that within, which posseth shaw”. —

W maju upały wypędzają wszystkich ze Stambułu nad Bosfor. Wzdłuż Bosforu ciągną się tureckie wioski i wille z których schodami prosto się schodzi do morza. Niełatwo tam Europejczykom o mieszkanie. Marszałek St. Amand dostał dla siebie z niemałą trudnością i wielkiem oburzeniem Turków śliczny pałac zwany Valide t. j. Matki. Rozumie się matki Sułtana, którą tak nazywają; bo wyraz matka odnośnie do innych matek tłumaczy się na turecki język Anna, a na perski Meter.

Nam dostał się wcale niezły dom należący do jakiegoś Dra. Mc. Carthy, na wzgórzu ponad tym pałacem, a na pół drogi do obozu arabskich spahis tworzących gwardję honorową konną marszałka. Byliśmy tam we wsi Jenikieni w samym centrum wojskowego ruchu francuskiego sztabu głównego. Sztab angielski z lordem Raglan był na drugiej stronie Bosforu, w Skutari po stronie Azji. Poselstwa były w pobliżu, we wsi zwanej Terapia. U nas zawsze było pełno. Ciągle nas gdzieś zapraszano; razu jednego na wielką rewję wojska francuskiego przed sułtanem.

Abdul Medzid' miał dziwnie piękną i sympatyczną twarz. Według tureckiej etykiety nikomu się nie kłaniał, ani ukłonu nie oddawał, ale jak chciał ukłon oddać, albo życzliwość okazać, to się wpatrywał tylko w oczy.

Kilka razy ten smutny wzrok na nas spadł i dziwnie smutne wrażenie po sobie zostawiał.

W czasie tej rewji jechaliśmy konno wzdłuż szeregów, właśnie jak Sułtan minął. Przypomina mi się jak w ten upał ciężki, żołnierz

jeden przebąknął pod nosem, ale dość głośno, ażebym go słyszała:
„Si le Sultan savait comme il m'est indifferent, il en serait effrayé* *).

O demokracji w Czechosłowackiej szkole.

Każde dziecko w Czechosłowacji wstępuje do szkoły od 6-go roku życia i musi uczęszczać do niej przez 8 lat szkolnych t. j. do 14-go roku. Jest to tak zwana szkoła powszechna (5 lat szkolnych) i dalszy jej ciąg — mieszczkańska (3 lata szkolne).

Ale i przed 6-tym rokiem może być dziecko przyjęte do tak zwanej szkoły macierzyńskiej, gdzie się uczą dzieci zapomocą gier i wierszy skupiać uwagę.

Prócz tego są dla najmniejszych dzieci zakładane w większych miastach żłóbki, czyli ochronki, dokąd prowadzą swe dzieci przeważnie matki, które chodząc w dzień do pracy nie mają co zrobić ze swojemi małemi dziećmi. Są tam przyjmowani i chłopcy i dziewczątka głównie dzieci niezamożnych rodziców, ale o ile jest dosyć miejsc to i matki zamożne też tam umieszczają swe dzieci, aby tak jak w Polsce w freblówkach bawiły się, śpiewały i chodziły na przechadzkę, bo żadnych prywatnych szkółek w Czechosłowacji niema.

Do macierzyńskich szkółek chodzą dzieci ze wszystkich warstw społecznych do szóstego roku życia.

Dzieci bawią się tam, wyrabiają różne przedmioty z papieru jak: ozdoby na choinkę, zakładki do książek, robią djabełki z suszonych śliwek na św. Mikołaja i wogóle wszystko robią te małeńkie rączki, co tylko umieją i z czego potem tak bardzo się same cieszą.

Dzieci bawią się na przemianę w klasie lub pokoju gimnastycznym, gdzie mają więcej swobody. A jak tylko na wiosnę zrobi się ciepło, wychodzą na świeże powietrze i tu dopiero rozchodzą się daleko i szeroko ich głosiki, które deklamują wierszyki lub bajeczki nauczone jeszcze w zimie, lub nucą jaką pioseneczkę i wzięwszy się za rączki

*) „Gdyby Sultan wiedział do jakiego stopnia jest mi obojętny, byłby tem przestraszony.

bawią się i skaczą, a jak im pani pozwoli rozbiegną się na 5 minut w różnych kierunkach, ale po 5 minutach na znak piszczałki, zbiorą się razem z pewnością i wykrzykując radośnie powrócą bez protestu do domu.

W ten sposób przygotowują się powoli do karności, jaka zapana w szkole powszechnej.

Od szóstego roku jest obowiązkowe uczęszczanie do szkoły powszechnej dla wszystkich dzieci bez wyjątku, więc dziecko obywatelskie lub właściciela domu, urzędnika czy dyrektora jakiego albo doktora wraz z dzieckiem praczki, szewca, dozorczy, sklepikarza, czy robotnika fabrycznego, wszyscy chodzą do jednej szkoły, bo szkół prywatnych niema dla uprzywilejowanych klas, bojących się zetknięcia dzieci wypielegnowanych z dziećmi rodziców prostych.

Szkoła rozpoczyna się 1 września. Na tydzień przedtem są zapisy dla dzieci wstępujących do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Zwykle przychodzą z niemi matki. Jeżeli w większych miastach jest kandydatów więcej n. p. 100, wtedy rozdziela się ich na połowę i robi się równoległe dwie pierwsze klasy A i B. O ile w dalszych klasach jest też tak dużo dzieci, to każda z nich ma A i B.

Po pięciu latach szkoły powszechnej, uczeń przechodzi do 3-klasowej szkoły mieszczkańskiej. Nazywa się ona tak, gdyż jest przeważnie w mieście, na wsi nazywa się gminna, czyli obywatelska; nauka w tej szkole obowiązuje wszystkich do 14 roku życia.

Mieszczkańskie i gminne szkoły nazywają się powszechnymi; prócz nich są jeszcze szkoły średnie i wyższe.

W szkołach powszechnych nauczyciel sam rozmieszcza w ławkach swoich uczniów, biorąc pod uwagę zdrowie dziecka, jak: krótkowzrocznych i mających słabszy słuch bliżej, a także podług usposobienia: dziecko z inicjatywą obok nieśmiałego, z temperamentem przy ślamazarnem; tylko dzieci niebezpieczne oddziela się w sposób nie zwracający uwagi, przewidując wszelkie momenty wychowania.

Żadnego dziecka nie proteguje się w szkole, nie wyróżnia i często zupełnie biedne dziecko staje się pierwszym.

Ten demokratyczny duch panuje nietylko w szkołach powszechnych, jest on i w średniej szkole, a także i w wyższej. Odznacza się

w współpracy tylko zdolności i pilność, wszystko jedno czy chodzi o bogatych, czy o biednych, bo wszystkim bez wyjątku daje się możliwość zdobycia bogactwa wiedzy.

W szkole średniej znikają prawie zupełnie przegrody społeczne, żadna z uczenic nie imponuje koleżankom zamożnością lub pochodzeniem swoim, conajwyżej zdolnościami i czytaniem. Studenci szkół wyższych, mają różne organizacje, należą do partji przeróżnych, gdzie stykają się i przyjaźnią z robotnikami, subjektami sklepowymi i t. d. pracując wspólnie z nimi rozumieją się doskonale, bo od małego acyli się i bawili razem, a więc jako dorośli znają się dobrze i rozumieją a przez to przygotowują się do udziału w przyszłym życiu obywatelskiem.

Melanja Sztanclowa.

Dziecko i praca.

Bóg zsyłając duszę ludzką na ziemię i każąc jej się wcielić w ciało dziecka, miał w tem napewno wyraźny i ściśle określony cel. Od zrozumienia przez nas tego celu, zależeć będzie niechybnie dobry, lub zły rezultat wychowania, także szczęście dziecka, które tylko w dążeniu do owego celu, urzeczywistnieniu go w sobie szczęście swoje znajdzie.

Przypatrzmy się więc temu celowi.

Bóg żąda, aby każdy z nas, z Jego wprawdzie pomocą, ale własnym wysiłkiem, wypracował w sobie pewne wartości, pewne uzdolnienia, które potem wydadzą swój owoc w życiu lub w dalszych losach zaświatowych. Chce także, by każdy człowiek cząstkę swoją dodał do dorobku ludzkości.

Przysposobić dziecko do tej podwójnej pracy, wewnętrznej dla siebie i zewnętrznej dla ludzi jest zadaniem wychowania.

Czy to nie za poważne, czy to nie za srogie w stosunku do tego wątłego kwiatu, którem jest dziecko? Czy to nie zabije w niem radości, gdy zastosujemy tę zasadę do naszego małegoństwa? Pomyślmy nad tem...

Co dziecku sprawia radość? Co wywołuje jego uśmiech słoneczny? Zaspokojenie jego pragnień, odpowiemy. Przyjrzyjmy się więc tym

pragnieniom. Oto niektóre z nich: zjeść cukierka lub jabłko (zadowolić swój smak lub głód) ubrać się w coś, co się dziecku podoba (zadowolić swój zmysł estetyczny albo swoją próżność). Zobaczyć lub usłyszeć coś, co dziecko zajmuje (zadowolić swoją ciekawość, nasycić wyobraźnię).

Zacytowane przykłady odnoszą się do pożądań biernych, choć co do ostatniego można mieć pewne zastrzeżenia. Przejdźmy do innej kategorii pragnień: dostać lalkę, by ją myć, ubierać, być małą mamusią, dostać konia, by na nim jeździć, być rycerzem, woźnicą, rolnikiem; klocki, by z nich budować.

Cechą wspólną tych pragnień jest, że pożądany przedmiot nie stanowi celu sam w sobie, lecz jest środkiem do wykonania jakiejś czynności, najczęściej związanym z przyszłym zawodem lub umiłowaniem dziecka. W takiej zabawie dziecko poszukuje nieświadomie uzdolnień do przyszłej swej pracy, czyniąc tak samo zresztą jak młody kot, ćwiczący się z zamięłowaniem w chwytaniu drobnych przedmiotów, lub pies walczący dla igraszki z towarzyszami. Patrząc na tę zabawę, która jest pracą, zrozumieć możemy twierdzenie katechizmowe, że i w raju pierwsi rodzice nasi pracowali, lecz że praca ich była radosną, a przekleństwo wygnania stanowi nie sama konieczność pracy, lecz to, że odbywa się ona „w pocie czoła”. Weźmy teraz trzecią kategorię spraw, bezsprzecznie dziecku sprawujących radość: dać jałmużnę, pomóc w czemś starszemu, nawet wyrzec się czegoś dla drugiego. Te rzeczy wywołują zadowolenie dziecka, nie tylko dlatego, że otrzymuje ono za nie pochwałę lub podziękę, lecz że budzą one w niem poczucie dokonania czynu dobrego, ważnego, a także pewność, że komuś ulżyło w cierpieniu, czy w trudzie.

Czy zastanawiając się w ten sposób nad życiem dziecka, przeżać nas będzie jeszcze twierdzenie, że jest ono stworzone dla pracy? Czy we wspomnieniach naszych nie znajdziemy radosnego okrzyku naszego maleństwa: „już umiem, mamusiu, już umiem!” Okrzyku w którym się mieści duma z dokonanego czynu, radość z przezwyciężenia trudności i zdobytego uzdolnienia. Czyż trud dla dziecka nie był szczęściem w danym wypadku?

Naszą rzeczą tak pokierować wychowaniem, by ten trud był szczęściem, często, jeśli nie zawsze; w tym celu musi być owocnym, a więc być ustosunkowanym należycie do zdolności i do sił dziecka. Musi być pewna proporcja między wysiłkiem, a rezultatem; rzecz zbyt łatwa znudzi, zbyt trudna zniechęci.

Tyle co do pracy na zewnątrz, a praca nad sobą, czy nie przyczynia dziecku radości? Czy spojrzeliśmy kiedy w promienne jego oczy w chwili gdy przewyciężyło się w jakiejś swojej wadzie? Oczekuje ono naszej pochwały. Później prócz chwały u ludzi przeszukiwać będzie radości, jaką się osiąga w obcowaniu z Bogiem, a to obcowanie bywa tem bezpośredniejsze, tem bardziej szczęsne i promienne, im bardziej jesteśmy doskonali.

Dajmy dzieciom narzędzie do osiągnięcia owego szczęścia jak najrychlej, nauczmy je doskonalić się.

(Z. A. Borowska)

Wiadomości.

Przy końcu roku szkolnego, uczennice opuszczające Zakład odprawiły jak zwykle duchowne ćwiczenia. Polegające na dniu skupienia, po którym następuje tydzień pracy wewnętrznej na tle powziętych postanowień, takich dni skupienia, przerywanych pracą wewnętrzną, było w tym roku 3. Nauki miewał częściowo ks. Adamski, a częściowo ks. Szczerbiński oratorjanin, który czas jakiś spędził w Monsoult pod kierunkiem O. Brilllet. Nauki ks. Adamskiego były bardzo gruntowne i pouczające. Ks. Szczerbińskiego pełne zapału, pociągające i rozgrzewające serca młodych słuchaczek.

Ks. Adamski przemawiał także do Pań pracujących w Zakładzie, Mówił że idąc za wskazówkami Ojca św. tworzy się obecnie tak nazwana Liga katolicka, złożona z osób świeckich, której celem jest działanie w duchu katolickim i misjonarskim na swoje otoczenie. Myślą papieża jest nietylko nawracanie pogan, co należy wyłącznie do misjonarzy, ale także oddziaływany na katolików, którzy są takimi tylko z imienia, a w rzeczy samej mają obyczaje pogańskie i zasad wiary nie znają. Duchowieństwu powierzył Ojciec św. misje zewnętrzne, a misje

wewnętrzne, wśród katolików, mają prowadzić osoby świeckie zrzeszone w Lidze katolickiej.

Członkowie Ligi kat. to żołnierze Chrystusowi walczący o panowanie Chrystusa, w rodzinie, obyczajach, w ustroju społecznym, w rządzie.

Ksiądz Adamski poza rekolekcjami przemawiał także do wszystkich uczenic. Mówił im o pracy społecznej, do której powinny się przygotowywać, o wpływie jaki powinny na otoczenie swoje wywierać, o instytucjach, stowarzyszeniach, do których powinny należeć.

Korzystając z wizytacji ks. biskupa Rosponda 18 naszych uczenic przystąpiło w kościele parafjalnym w Zakopanem do sakramentu bierzmowania.

Urządzono w końcu lipca wystawę nietylko robót z działu krawieczyny i bieliźniarstwa ale i z działów wyrobów gospodarczych jak: mleczarni, piekarni, przetworów owocowych; nie dorównywała ona wprawdzie wystawom przedwojennym ale mimo to przedstawiała się wcale dobrze i zyskała uznanie zwiedzających ją gości.

Dzielimy obecnie wszystkie nasze uczennice na dwa rodzaje kursów: na kurs trzyletni i kurs roczny.

Może zajmie nasze czytelniczki wiadomość, że w ubiegłym roku szkolnym było na kursie trzyletnim około 80 uczenic z tego 39 kształciło się na instruktorki gospodarcze, na kursie rocznym (dawny II od.) było dwadzieścia kilka uczennic.

W ciągu czerwca i lipca przyszłe nasze instruktorki zdawały egzamina z zajęć praktycznych. Komisja złożona z nauczycielek dawała ocenę i stopnie. Przez dłuższy czas wstawały biedaczki o 4 lub piątej rano, aby sobie powtarzać przedmioty mające służyć do egzaminów ustnych i piśmiennych.

Pytania do wypracowań potwierdzone zostały przez kuratorjum krakowskie.

Wreszcie nadszedł dzień ważny i decydujący dla ich przyszłości. Przyjechał p. Grochmalicki, rektor uniwersytetu poznańskiego, p. Misky naczelný wizytator szkół zawodowych. Pan Misky przejrzał wszystkie wypracowania instruktorek, potwierdził dane przez nauczycielki stopnie, a potem każda z instruktorek stanąć musiała przed komisją egzaminu-

jąca, do krórej należeli p. Grochmalicki, p. Misky, przełożona Zakładu, kierowniczką działu Instruktoerek i nauczycielką danego przedmiotu.

Przy ostatecznej ocenie wzięto pod uwagę stopnie całoroczne i pokazało się, że wszystkie zdały na dobrze i bardzo dobrze. Radość była ogromna, wzajemnie sobie wieszowano *).

Nazajutrz o 3 po południu w pięknie przyozdobionej szwalni nastąpiło rozdanie świadectw. Panie uczennice, nawet goście wszyscy się zebrali.

Przy stole na pewnym wzniesieniu zasiedli ks. proboszcz, rektor Grochmalicki, p. Misky, p. przełożona i kierowniczką działu instruktoerek p. Łyskowska.

Chór zaśpiewał pieśń: „Szukajmy najprzód królestwa Bożego“. Poczem przemówił ks. proboszcz; zwrócił się do uczennic upominając je, aby nie poprzestawały na tem co w Zakładzie zdobyły pod względem duchowym, ale żeby te zasady wiary starały się w życie na świecie wprowadzić. Bo wiara bez uczynków martwa jest.

Po proboszczu przemówił p. Grochmalicki, wyrażając w krótkich słowach swoje zadowolenie z odbytych egzaminów i zakończył oświadczeniem, że chwile pobytu w Zakładzie zaliczy do przyjemniejszych chwil swego życia. Przemówiła także jedna z nauczycielek p. Irena Zakrzewska, mówiąc, że w życiu trzeba światła i ciepła, że ciepło daje miłość, że najszlachetniejszą, najsilniejszą dźwignią w życiu jest miłość Boga i miłość Ojczyzny. Wierzy i ufa, że tem hasłem P. Jen. będą się uczennice Zakładu kierować.

Jedna z instruktoerek p. Zydwowiczówna dziękowała w imieniu towarzyszek p. Groch. jako przedstawicielowi Fundacji Zamojskich za wszystkie korzyści odebrane w Zakładzie. P. Musiałówna w imieniu II od. zegnała koleżanki, dziękowała im za doznaną od nich życzliwość.

P. Grochmalicki wywoływał po kolei najprzód każdą z instruktoerek, a potem każdą z uczennic opuszczających Zakład i wręczał jej świadectwo, a przytem rękę podawał, ona po otrzymaniu świadectwa dziękowała ks. proboszczowi i p. przełożonej.

*) P. Misky powiedział, że gdyby nie to, że sam przeglądał wypracowania i był obecny na egzaminie, to stopnie były tak dobre, że przypuszczałby, że nauczycielki kierowały się zbytnią pobłażliwością, tymczasem uznaje, że ocena była słuszną.

Na zakończenie odśpiewano Rotę Konopnickiej, poczem wszyscy udali się na podwieczorek do ogrodu, gdzie stoły były suto zastawione pieczywem a także tortami, ciastkami i cukierkami. Podano kawę i lody.

W czasie podwieczorku przemówiła p. Jętkiewiczowa w imieniu koła kuźniczanek, zachęcając wyjeżdżające uczennice, aby się zapisywały do koła, którego centrala jest w Warszawie, a filje we Lwowie, Krakowie, Poznaniu, Łodzi i Katowicach. Dziękowała za ojcowską opiekę ks. proboszczowi. Było jeszcze kilka przemówień. Wreszcie zjawiła się orkiestra wychowanków braci Albertów i uprzyjemniła zebranie muzyką.

P. Grochmalicki chcąc wyrazić swoje zadowolenie, sprawił uczniom wielką przyjemność, wynajął kosztem fundacji dwa autobusy, które je powiozły do M. Oka. Mimo ulewnego deszczu w nocy, czas się wypogodził, słońce zaświeciło i cudny dzień nastał, jasny, ciepły, a niezbyt gorący. Wycieczka udała się znakomicie, nastrój był wesoły, zadowolenie niezmiernie.

Dla upamiętnienia tej uroczystości zrobiono zdjęcie fotograficzne wyjeżdżających uczennic w gronie Pań zakładowych nauczycielek, do których przyłączył się p. Misky.

P. Zamoyska nie mogła przyjechać na to uroczyste zakończenie roku szkolnego, zaprosiła natomiast instruktorki do Kórnika. Pojechały więc one pod opieką P. Przełożonej, aby zwiedzić Kórnik, a zwłaszcza aby pomodlić się na grobie ś. p. P. Jener. i P. Zamoyskiego, modlitwą wyrazić swą wdzięczność za wszystko co w Zakładzie otrzymały, a zarazem polecić się na dalszą drogę życia tej, co z pewnością czuwa nad rozpoczęciem przez siebie dziełem i wyjednywa dla niego liczne u Boga łaski.

W czasie lata mieliśmy dużo miłych gości. Odwiedziła nasz zakład: p. Teresa Leszczyńska dawna współpracownica Zakładu, a obecnie kierowniczką szkoły gospodarczej w Krotoszynie, należy do Zrzeszenia nauczycieli szkół gospodarstwa wiejskiego, bierze czynny udział w różnych zjazdach i zwiedza szkoły gospodarcze. Mówiła nam, że na tych zjazdach uważają za ostatni wyraz postępu, to co ś. p. P. Jenerałowia starała się wprowadzić do Zakładu Kórnickiego 20 czy 30 lat temu jak oto: używanie maszyn dla ułatwienia pracy, podniesienie jej wy-

dajności przez umiejętną organizację, przez oszczędzenie niepotrzebnych ruchów i t. p.

Bawiły czas jakiś w Zakładzie p. Jętkiewiczowa, p. Wyszowska, p. Małcużyńska, p. Maciaszczyk, p. Irena Hube, p. Anna Hube, pp. Zarzyckie p. Sobańska Grocholska z domu pp. Kataryniakówna i Mączyńska.

Odwiedziły Zakład Siostra Berchmanska urszulanka, dawna Adela Kriszjan, dawna p. Suchodolska, młoda mężatka p. Wystrychowska z domu Kamińska p. Małecka p. Zdanowiczowa z domu Grabińska i dawna p. Urszula Daszyńska.

Śluby.

P. Wanda Kamińska, wyszła za mąż za p. Karola Wystrychowskiego. Ślub odbył się d. 26 czerwca roku bieżącego w klasztorze O. O. Franciszkanów w Panewniku na G. Śl.

P. Helena Lisowska wyszła za mąż za p. Marcelego Karczewskiego. Ślub odbył się 22 lipca w Warszawie w kościele ks. Karmelitów na Krak-Przedm.

P. Luba Pawlenko wyszła za p. Jerzego Strzygockiego. Ślub odbył się d. 12 sierpnia o g. 8 wieczorem w kościele rzym. kat. w War-kowiczach.

Intencja.

Polecamy usilnie modlitwom dawne uczennice będące w ciężkiem położeniu, a także te, które w tym roku opuściły Zakład.

Praktyka.

Przedsięwziąć jakąś działalność apostołską, a jeśli takową już mamy, starać się ją pogłębić i rozszerzyć.